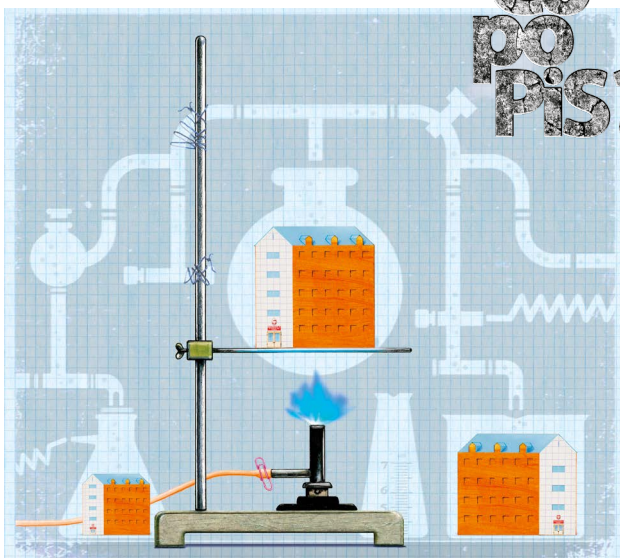




17 Andrzej Duda:
niezłomny żołnierz prezesa



26 Co po PiS? Raport: co dalej z edukacją
– co z gimnazjami, co z sześciolatkami

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Nowy front PiS – Sąd Najwyższy
- 14 Jacek Żakowski
Zjednoczenie opozycji może się udać
- 17 Rafał Kalukin
Kieszonkowa prezydentura Dudy

Polityka

- 20 Katarzyna Czarnecka, Joanna Podgórska, Agata Szczerbiak, Ewa Wilk
Bunt kobiet
- 24 Grzegorz Rzeczkowski
W Polskim Radiu jak w łatynoskiej telenoweli

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla, Edwin Bendyk
Co zrobić z „deformą” edukacji



- 30 Marcin Kołodziejczyk
Wypadek Macierewicza
- 32 Rozmowa z Iwoną Ramus, prawniczką, o tym, czy alimenty od dzieci należą się także złym rodzicom
- 34 Violetta Krasnowska
Bezkarne Stonoga
- 37 Ryszarda Socha
Lofty w Stoczni Gdańskiej?

Rynek

- 42 Branko Milanović, autor „Globalnych nierówności”, o tym, dlaczego ludzie się buntują, choć żyje im się lepiej
- 46 Cezary Kowanda
Bank w komórce
- 48 Joanna Solska
Biznes ucieka przed PiS

Świat

- 50 Jędrzej Winięcki HOLANDIA
Geert Wilders: kolejny groźny radykał populistą
- 54 Tomasz Wałat DANIA
Cienie stylu hygge
- 56 Jagienka Wilczak
Czy Syberię da się ożywić

Historia

- 60 Andrzej Krawczyk
Mowa Trumana
- 63 Mirosław Sikora
Jak wywiad PRL wykradał zachodnie technologie farmaceutyczne

Nauka

- 66 Rozmowa z prof. Michałem Różyczką, astronomem, o nowych planetach i co z tego wynika
- 70 Paweł Walewski
Tajemnice alzheimera
- 72 Marcin Rotkiewicz
Test lustra i świadomości

Kultura

- 78 Piotr Sarzyński
Muzeum II Wojny Światowej nam się podoba, a władzy nie
- 81 KAWIARNIA LITERACKA
Łukasz Orbitowski
- 82 Rozmowa z Janem P. Matuszyńskim, laureatem Paszportu POLITYKI w kategorii Film za „Ostatnią Rodzinę”
- 84 Aleksandra Żelazińska **Ekoliteratura**
- 87 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 88 Agnieszka Krzemińska
Historia zamku Książ na przedwojennej fotografii
- 92 Marcin Piątek
Policjant rozkręca polski futsal

Na własne oczy

- 100 Urszula Dąbrowska, fotografie Rafał Milach
Płynne granice nad wschodnim Bałtykiem

Stałe rubryki

- 4 Mleczeko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 74 Afisz
- 94 Passent • 95 Chutnik i Plebanek
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Sprzeczni z misją

Prezes TVP, w ramach realizacji misji powierzonej mu przez Jarosława Kaczyńskiego, odwołał emisję Teatru Telewizji z aktorką Julią Wyszynską. Powodem jest udział tej aktorki w reżyserowanym przez nie-Polaka przedstawieniu „Kłątwa”, podczas którego dopuszcza się seksu oralnego z figurą papieża Jana Pawła II oraz wygłasza satyryczny monolog na temat zbiórki pieniędzy w celu zabicia Jarosława Kaczyńskiego. Czyny te prezes TVP uznał za sprzeczne z misją kierowanej przez niego placówki, co niestety powoduje, że z misją sprzeczna jest także sama Wyszynska.

Czy w 40-milionowym kraju w XXI w. naprawdę nie da się ukazać figury Jana Pawła II we właściwym świetle pozbawionym drastycznych podtekstów seksualnych? Otóż okazuje się, że da się, czego dowiodła objęta patronatem pięciu biskupów światowa prapremiera musicalu „Karol” w krakowskiej Tauron Arenie. Trzeba powiedzieć, że w tym spektaklu figura Jana Pawła II, grana przez aktora Kawalca prowadzącego niegdyś „Randkę w ciemno”, jest traktowana po ludzku i nie zmusza się jej do uprawiania seksu na scenie. Kierując się wartościami chrześcijańskimi, twórcy nie próbują epatować widza seksem ani niczym innym. W zamian proponują widowisko bardzo polskie – niezwykle skromne



myślowo, będące zdaniem recenzenta „Gazety Wyborczej” „katechezą z pierwszej klasy podstawówki”, w dodatku charakteryzujące się „rachityczną choreografią i drewnianym aktorstwem”. Obserwując aktorów, widz odnosi silne wrażenie, że sam mógłby w musicalu „Karol” wystąpić, na skutek czego bez trudu identyfikuje się z przedstawianymi postaciami oraz treścią spektaklu.

Miejmy nadzieję, że „Karola” zobaczymy niedługo w Teatrze Telewizji zamiast Wyszynskiej, bezwstydnie obnażającej na scenie obce nam korzenie. Ostatnie decyzje prezesa TVP pokazują, że pragnie on stawiać na osoby z twardym i niezłomnym polskim korzeniem. Jedną z takich osób jest Antoni Macierewicz, dotychczas znany telewizjom z występów w defiladach, uroczystościach składania wieńców i uczestnictwie w widowiskowym wypadku z udziałem towarzyszącej mu kolumny aut. W ubiegłą niedzielę polityk ten nieoczekiwanie dostał szansę wystąpienia w Teleranku, w którym przy wojskowej grochówce ujawnił dzieciom prawdę o Żołnierzach Wyklętych. I uważam, że tym występem zadał kłam opinii, że do telewizyjnych programów dla dzieci w ogóle się nie nadaje.

A nawet pokazał, że nadaje się do nich o wiele lepiej niż do kierowania MON.



OD PONIEDZIAŁKU,
13.03

crivit



W WIOSENNEJ FORMIE



Kurtka przeciwdeszczowa
lub buty do biegania

HIT CENOWY

66.-



KOMENTARZ

Saryusz-Wolski,
kandydat Putina?

Marek Ostrowski

PiS z pomocą nowo pozyskanego pionka chce zwalić z europejskiej szachownicy znieawidzonego króla. Pionek to Jacek Saryusz-Wolski, król to Donald Tusk. Pionek nie ma żadnych szans na koronę, ale ta dworska intryga może króla korony pozbawić. Formalnie rzecz biorąc, ten sprzeciw nie ma żadnych szans, bo zgodnie z zasadami unijnego głosowania większościowego PiS musiałby pozyskać co najmniej 8 państw reprezentujących łącznie 35 proc. ludności Unii, a jest osamotniony. Do intrygi przeciw Tuskowi Jarosławowi Kaczyńskiemu nie udało się pozyskać nawet Grupy Wyszehradzkiej, której aktywnością prezes PiS się tak chwali. Współpraca regionalna jest wartościowa, ale budowanie jakiejś przeciwwagi wobec głównych partnerów to mrzonka. Wyszehrad jest polityczną mozaiką, zresztą nikt nie chce tam polskiego przywództwa.

Politycznie ten sprzeciw też nie ma szans, bo po co partnerzy unijni mieliby premiować PiS, który dawno postawił się poza głównym nurtem, nie zapisując się w Parlamencie Europejskim ani do chrześcijańskiej demokracji, ani do socjalistów, ani liberałów, lecz wybierając antyunijne w istocie ugrupowanie: Europejskich Konserwatystów

i Reformatorów. Nie licząc Wielkiej Brytanii, która akurat opuszcza Unię, żaden poseł z tego ugrupowania nie należy do partii, która by tworzyła rząd w jakimkolwiek kraju Unii. Jakie więc intryga PiS miałaby poparcie wśród europosłów? Za to przewodniczący chadecji, czyli Europejskiej Partii Ludowej (EPL), Joseph Daul dwukrotnie publicznie oznajmił w tym tygodniu, że Donald Tusk cieszy się poparciem tej największej europejskiej partii (której Saryusz-Wolski przestał być właśnie członkiem). Przywódcy europejscy nie mogą też premiować zagrywek samego Jarosława Kaczyńskiego, który publicznie określa Tuska jako kandydata niemieckiego, grająca na nucie nacjonalizmu – obcej idei unijnej. Tak rozumując, można twierdzić, że Saryusz-Wolski jest kandydatem Kremla, bo sieje zamęt w trudnym momencie i – tak jak Rosja – gra na osłabienie Unii.

Tusk przechodzi więc gładko? Niekoniecznie. Bo Unia zawsze próbuje unikać głosowań czy publicznych kłótni i dla świętego spokoju może szukać innego rozwiązania. Chodzi przecież o jedno z najważniejszych stanowisk na świecie i w ostatniej chwili mogą znaleźć się konkurenci cięższej wagi, którzy wykorzystają sprzeciw rządu polskiego. Wtedy wybrany zostanie jakiś niebudzący niczyich specjalnych emocji były, najlepiej socjalistyczny, premier jednego z mniejszych krajów. Prawicowi pochlebcy Kaczyńskiego mówią o jego geniuszu strategicznym, ale w czym się ów geniusz w tym wypadku wyrazi? Utrąceniem Tuska, czyli grą pod kraj, pod krajową publiczność, tak niezrozumiałą w Europie jak paranoja smoleńska, która stoi za pisowską nienawiścią do Tuska. Jaką nagrodę wynegocjował nielojalny pionek Saryusz za – podjętą wbrew całej partii EPL – próbę podstawienia nogi Tuskowi – to już tylko trzeciorzędna ciekawostka. Co najwyżej zastąpi Waszczykowskiego.

Pierwszorzędną sprawą jest natomiast przyszła rola Donalda Tuska w Unii, jeśli pozostanie na stanowisku, co gdy piszemy te słowa, nadal jest scenariuszem najbardziej prawdopodobnym. Unia – i to nie jest nadużywanie wielkich słów – znalazła się w historycznym momencie. Mówiąc brutalnie, nikt już nie kryje, że szykują się dwie unie: dotychczasowa „27” oraz ściślejsza, wewnątrzna grupa krajów dążących do dalszej idącej integracji, niezamierzających czekać na maruderów.

W Paryżu w poniedziałek odbyła się narada przywódców Francji, Niemiec, Włoch i Hiszpanii; gdyby Polska płynęła w głównym nurcie, też byłaby tam przy stole jako duży europejski kraj. To znaczący brak zaproszenia i kolejny już zwiastun rodzenia się uciekającej do przodu czołówki. Ta druga „unia” nie musi mieć nawet odrębnych instytucji w rodzaju i tak już osobnej eurogrupy. Przypomnijmy, że w pierwszej kadencji Donald Tusk przewodniczył nie tylko szczytom Rady, ale także szczytom strefy euro i skutecznie zapobiegał rozejściu się krajów euro i nie-euro. Ale faktyczna współpraca – w unii bankowej czy w sprawach wojskowych – z natury rzeczy stworzy dalsze i jeszcze żywsze zbliżenie krajów idących naprzód. Jak sprawić, by te dwie unie nie za bardzo się rozeszły – ze szkodą dla Polski, która z powodu pisowskiej ideologii spycha się na margines? Właśnie Tusk musi być tym łącznikiem; powinien być także – na europejskim ekranie – twarzą Polski europejskiej, demonstrować swoją aktywnością, że dla Polaków członkostwo w Unii było ambicją cywilizacyjną, tyle zrobili, by zakorzenić się w zachodnich instytucjach, że w Unię wierzą. I że w przyszłości – z nowym rządem – zrobią wszystko, by dołączyć do czołówki tej wspólnoty.

Jan Koza



© JAN KOZA



© MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

Kto nas wyleczy?

Czy Polska rzeczywiście staje się atrakcyjnym krajem migracji dla personelu medycznego spoza Unii – lekarzy, pielęgniarek, położnych? Dlaczego nasi lekarze wyjeżdżają do pracy w Niemczech, gdzie awansowali już na piąte miejsce wśród zatrudnionych przybyszów.

Jak wynika z raportu Instytutu Spraw Publicznych, polscy lekarze szukają możliwości rozwoju, dostępu do nowoczesnych metod leczenia, szybszej specjalizacji i awansu. Na dalszym miejscu są kwestie finansowe. Pielęgniarki chcą przede wszystkim lepszych zarobków i mniej obciążającej pracy. Polacy, jeśli zdobyli dyplom po 2004 r., nie mają w Niemczech problemów z uznaniem wy-

kształcenia, praca czeka, bo za Odrą także jest deficyt. Jeden warunek: znajomość języka potwierdzona egzaminem, bo w kwestii tak ważnej jak zdrowie nie da się porozumiewać na migi.

Nawet nie wiemy dokładnie, ilu lekarzy i stomatologów wyjechało. Z informacji Naczelnej Izby Lekarskiej wynika, że odkąd jesteśmy w UE, wyjechało z Polski ok. 10,5 tys. lekarzy i ponad 2 tys. stomatologów oraz przeszło 17 tys. pielęgniarek. W 2015 r. ponad 2100 osób z Polski wniosło w Niemczech o uznanie kwalifikacji medycznych. Zasada swobodnego przepływu ludzi na terenie Unii sprawia, że polscy

lekarze nadal będą wyjeżdżać i nie powstrzyma tego przepis ministra Gowina, żaden obowiązkowy zwrot kosztów wykształcenia. Po co mieliby się użerać z twórczością ministra Radziwiłła, skoro całkiem niedaleko od domu mogą pracować bez stresu i za lepsze pieniądze?

Tymczasem w Polsce odsetek lekarzy obcokrajowców to 2,7 proc. Uzupełnianie braków migrantami z Ukrainy, dla których zarobki i poczucie bezpieczeństwa decydują o emigracji, nie jest automatyczne, bo Ukraina jest krajem spoza UE. Największą barierą stanowi procedura nostryfikacji dyplomu oraz konieczność odbycia bezpłatnego stażu czy szkolenia specjalizacyjnego, co pożera za zwyczaj oszczędności całego życia. Jeśli chcemy imigrantów spoza Unii, warto rozważyć możliwość wynagradzania cudzoziemców odbywających staż podyplomowy – rekomendują autorki raportu. Dziś tylko posiadacze Karty Polaka są traktowani jak obywatele RP. Warto zadbać, żeby nostryfikacja dyplomu przebiegała według identycznych procedur we wszystkich ośrodkach akademickich. Dziś jeszcze lekarze z Ukrainy zatrzymują się w Polsce. Ale gdy Unia zniesie obowiązek wizowy dla Ukraińców, żaden z nich nie zainteresuje się możliwością pracy u nas. W Niemczech czekają na nich z otwartymi ramionami. J.W.

Na podstawie raportu „Wykwalifikowani migranci w Polsce i Niemczech”, przygotowanego we współpracy z Fundacją im. Eberta oraz dzięki finansowemu wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej przez Agnieszkę Ładę i Justynę Seges-Frelak.

KOMENTARZ

Od korytarzowego do zderzakowego



Juliusz Ćwieluch

Od tygodnia MON ma nowego wiceministra, co czyni ten resort potęgą. Co prawda tylko kadrową, ale za wsze. Poprzedniej ekipie wystarczał jeden zastępca ministra i trzech sekretarzy stanu. Tej w sumie też by wystarczał, bo obowiązki nowo powołanego wiceministra Michała Dworczyka są niemal identyczne z tymi, jakie miał prof. Wojciech Falkowski. Dworczyka rzucono dodatkowo na trudny

odcinek budowania Obrony Terytorialnej. To również nie usprawiedliwia powołania go na stanowisko, bo za tę formację dotychczas osobiście odpowiedzialny był minister Antoni Macierewicz. Wygląda na to, że Dworczyk dostał trudną funkcję zderzakowego. Jeśli OT nie będzie sukcesem na miarę naszych możliwości, będzie kogo poświęcić. Teraz Macierewicz jest już tylko ministrem od skłaniania więzank i szczodrego rozdawania uśmiechów, bo jako szef resortu nie organizuje nawet cotygodniowych odpraw z najwyższymi dowódcami. Jednym słowem, co złego w MON, to nie on.

Dworczyk to kandydat niemal idealny. Katolik. Ojciec czwórki dzieci. Rocznik 1975, wojsko ominął szerokim łukiem, bo decyzją ministra obrony narodowej Bronisława Komorowskiego został przeniesiony do rezerwy. Armia oszczędzała wówczas głównie na szkoleniu. Dworczyk chętnie podkreśla w swoim życiorysie, że do wojska poszedł na ochotnika. Miłoścy do militariów o mało jednak nie zaprowadziła go do więzienia. „Fakt” przypomniawszy, że minister zgromadził w swojej piwnicy imponujący

zestaw pocisków artyleryjskich i amunicji. Na szczęście żaden z mieszkańców 9-piętrowego bloku nie ucierpiał. A sprawa skończyła się wyrokiem w zawieszaniu. Później Dworczyk realizował się w harcerstwie. Oczywiście tym właściwym, czyli w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Do Sejmu startował dwukrotnie, ale bez powodzenia. Ostatecznie wszedł jako spadochroniarz z okręgu wałbrzyskiego. I zrobił tam imponujący wynik. Drugi po pośle Siemoniaku. Siemoniak to wróg numer jeden Macierewicza.

Dworczyk bronił obecnego szefa resortu najpierw na sejmowych korytarzach. Teraz dostał mocniejszy mandat. I więcej władzy. W odróżnieniu od swojego szefa jest dobrym organizatorem, na dodatek sprawia wrażenie miłego człowieka, co może posłużyć ociepleniu wizerunku ministerstwa, które jest pod silnym ostrzałem mediów, a także wewnątrz PiS. Nawet jeśli nie poradzi sobie z Obroną Terytorialną, przynajmniej sprawdzi się w obronie szefa resortu. A ten potrzebuje jej coraz bardziej. Głównie przed konsekwencjami własnych słów.



Na przekór dobrym radom

Trwa festiwal doradzania opozycji, w jaki sposób ma sobie radzić z PiS teraz i jak potem pokonać tę partię w wyborach. Ja też zajmę się opozycją i udzielaniem jej rad.

Dobre rady zgłaszane zewsząd są dwie: żeby partie opozycyjne wspólnie podjęły pracę nad wizją Polski popisowskiej i żeby zadeklarowały, że jakby co, to one wejdą w koalicję wyborczą. Otóż uważam, że jeśli partie opozycyjne pójdą za tymi dobrymi radami, to zrobią sobie (a przy okazji tym wyborcom, którzy chcą odsunąć PiS od władzy) raczej źle niż raczej dobrze. Odmienne bowiem niż zwolennicy wspólnej wizji i wspólnej listy postrzegam warunki brzegowe zwycięstwa nie-PiS nad PiS.

Jeśli pominąć wyjątkową sytuację z wyborów w 2007 r., kiedy to wyłoniły się zręby nowego podziału politycznego Polski, to analizując wyniki sondaży i kolejnych wyborów, można oszacować, że „hardcorowe” elektoraty PiS i najpierw Platformy Obywatelskiej, a od 2015 r. PO i Nowoczesnej są mniej więcej równoliczne. Każdy z nich wynosi ok. 30 proc. Nie widać żadnego powodu do ich przyrostu. Natomiast o zwycięstwie decyduje zdolność do przyciągnięcia 8–10-proc. nadwyżki. W 2011 i 2015 r. tę nadwyżkę przyciągała obietnica sterowania strumieniami finansowymi. Tę funkcję w koncepcji PO pełniły w 2011 r. fundusze europejskie (przypominam kuriozalne, ale chwytliwe hasło: „Nie robimy polityki, budujemy Polskę”), a w koncepcji PiS w 2015 r. – zwiększenie transferów socjalnych (przede wszystkim 500+). Innym czynnikiem przesadzającym o odsunięciu PiS od władzy jest wyborcza efektywność PSL i lewicy, które zagrożone są nieprzebicciem się przez 5-proc. próg wyborczy.

Jest oczywiście, że w wyborach w 2019 r. obietnice związane z przesterowaniem strumieni finansowych nie odegrają większej roli. W nowej perspektywie finansowej Unii Europejskiej funduszy dla Polski będzie dużo mniej, a w dziedzinie redystrybucji dochodu narodowego PiS dojdzie do ściany, a może nawet, ze złymi skutkami dla gospodarki, przez nią się przebijie.

Magnesem przyciągającym niezdeterminowaną nadwyżkę wyborczą w 2019 r. może być tylko uwiarygodniona obietnica likwidacji największego deficytu, który PiS z zapalem tworzy. A jest to deficyt poczucia bezpieczeństwa, stabilności, przewidywalności i minimalizacji ryzyka. To kwestia w Polsce pierwszorzędna, bo po niedobrych doświadczeniach ostatnich ponad 200 lat polskie społeczeństwo ma utrwalone nastawienie lękowe. PiS wypowiedział wojnę III RP, ale nie ma wystarczających zasobów, by stworzyć jakąkolwiek stabilną alternatywę. W rezultacie tworzy obszary niepewności i chaosu. Czasy mamy niepewne i obóz władzy, który sam jest czynnikiem i sprawcą niepewności, aż prosi się o to, by go wymienić. Warunek jest jeden: przekonanie, że pretendenci „ogarniąją”, że ich władza będzie oznaczać redukcję niepewności, a nie jej trwanie, tylko z przeciwnym znakiem.

Dobra rada, by partie opozycji parlamentarnej wspólnie wypracowały zręby koncepcji w tej sprawie (w ostatniej POLITYCE udzielał jej marszałek Marek Borowski), miałaby sens wtedy, gdyby w półtora roku po wyborczym zwycięstwie PiS dało się dostrzec jakiegokolwiek znaki na niebie i ziemi, że PO, Nowoczesna i PSL pracują nad takimi pomysłami osobno. A tych znaków ani widu, ani słychu. Jakby każda z nich coś wypracowała, choćby w formie

zależkowej, to byłoby co uzgadniać. A jak nic nie ma, to nie ma czego uzgadniać.

Powód, dla którego partie opozycyjne poza sprzeciwianiem się PiS nie przygotowują się do przyszłego rządzenia, jest jasny. Uważają one, że znajdują się w dość komfortowej pod pewnymi względami sytuacji. Obóz władzy tak rozrabia, tak się miota, że musi się potknąć o własne nogi i zwycięstwo przyjdzie samo, więc po co się przemęczać.

W polityce samą perswazją i dobrym słowem nic się nie osiągnie, potrzebny jest kijaszek. A tym kijaszkiem jest konkurencja w ramach opozycji. Przekaz, który świadomi wyborcy antypisu powinni skierować do kierownictwa PO, Nowoczesnej i PSL, mógłby brzmieć następująco: oczywiście Misiewiczów trzeba pogonić, a premier Szydło postawić przed Trybunał Stanu. Ale my swój głos oddamy na tych z was, którzy oprócz tych koniecznych zabiegów represyjnych będą wiedzieli, jak Polskę z chaosu po PiS wyprowadzić. Pieniądz rodzi pieniądz, głosy przyciągają głosy. Ta z waszych partii, która przedstawi wiarygodny plan w tej sprawie, ma nie tylko nasze kreski, ale także kreski większości tych 8–10 proc., które porzuca PiS. I ta partia będzie w przyszłym Sejmie i rządzie rozdawać karty. To do roboty!

Dlatego jestem przeciwny wspólnym pracom zjednoczonej opozycji, bo zakładają one brak konkurencji, a brak konkurencji to antypisowska retoryka obłana ogólnikami o demokracji, wolności i państwie prawa.

Jeszcze gorzej ma się sprawa ze wspólną listą wyborczą. W polskich warunkach teoretycznie możliwa (praktycznie nikt tego dotąd nie ćwiczył) jest koalicja dwóch partii, które operują w odmiennych niszach wyborczych i nie wchodził sobie w drogę – np. PO i PSL. Praktycznie do skutecznych koalicji dochodziło wtedy, gdy w danym obszarze wyborczym pojawiał się hegemon. Takim hegemonem na centroprawicy stała się w 1997 r. Solidarność i powstała AWS. Jeszcze bardziej hegemoniczną rolę odegrał w 2015 r. na prawicy PiS, biorąc na partyjną listę polityków małych ugrupowań.

W konkurencji między PO i Nowoczesną hegemonia nie ma. Najpierw Nowoczesna szła do przodu, ale teraz osłabła, a PO się wzmocniła. Naturalną taktyką partii mocniejszej jest w takiej sytuacji próba wzięcia partii słabszej w braterski uścisk, po to, by jej połamać żebra – co PO robi. Naturalną taktyką partii słabszej są uniki i gra na czas, a nuż partii silniejszej powinie się nóżka, a my się wzmocnimy – co robi Nowoczesna. I tak będzie aż do wyborów do sejmików wojewódzkich w 2018 r., które dostarczą wiarygodnego miernika siły obu ugrupowań. Podejmowanie teraz kwestii jednoczenia opozycji to strzelanie do własnej bramki, bo jedyne, co partie opozycyjne wyborcom przekażą, to to, że usiłują się przechytryć i zajmują się sobą, a nie przygotowaniem do rządzenia po PiS.

O opozycyjnych strategiach pisze także Jacek Żakowski – s. 14.

HUAWEI Mate 9 Pro

CO-ENGINEERED WITH



HUAWEI MATE 9 PRO TO BEZKOMPROMISOWO ZAPROJEKTOWANY SMARTFON DLA BIZNESU

Jest połączeniem najwyższej jakości komponentów, zaawansowanej technologii i wysmakowanego designu. Szybki, niezawodny i piękny – czego chcieć więcej?

LIDER SZYBKOŚCI I WYDAJNOŚCI

Praca na plikach w chmurze, zaawansowane aplikacje biurowe, multimedia? Mate 9 Pro poradzi sobie z każdym zadaniem w błyskawicznym tempie. Dzięki wydajnemu procesorowi Kirin 960 i inteligentnemu zarządzaniu pamięcią, smartfon będzie działał nawet po 1,5 roku tak samo jak pierwszego dnia. Nowatorski algorytm samouczącego się systemu HUAWEI Mate 9 Pro przewiduje zachowania użytkownika i przygotowuje zasoby z wyprzedzeniem, dlatego smartfon jest zawsze przygotowany do pracy na 100%.

WYJĄTKOWA MOC

Wychodzisz na spotkanie i zapomniałeś naładować smartfon? Dla Mate 9 Pro zaledwie 20 minut wystarczy aby urządzenie działało przez cały dzień pracy. To zasługa superszybkiej ładowarki, niezwykle mocnej baterii o pojemności 4000mAh i inteligentnej technologii zarządzania energią.

DESIGN NAJWYŻSZEJ KLASY

Duży, kunsztownie wykonany ekran o zaokrąglonych krawędziach, metalowa obudowa ze szczotkowanego aluminium, szlifowane krawędzie – każdy detal Mate 9 Pro robi wrażenie. Całości dopełnia charakterystyczny aparat z dwoma obiektywami, który powstał we współpracy z legendarną firmą Leica.



Cena: 3 699 zł
www.huaweipolska.pl

PREZENTACJA



**DLA PRAWDZIWYCH KONESERÓW
POWSTAŁA OSOBNA, LIMITOWANA EDYCJA
HUAWEI MATE 9 PORSCHE DESIGN**



Jednodniowy prezydent

Mowa Donalda Trumpa na Kapitolu była teatrem obliczonym na zjednanie sceptyków w Partii Republikańskiej i podreperowanie fatalnego wizerunku prezydenta USA na świecie. Ale czar szybko przysł.

Po przemówieniu **Donalda Trumpa w Kongresie** można było pomyśleć, że narodził się nowy prezydent – zamiast wizji Ameryki w ruinie i potępiania elit oraz innych wymyślonych wrogów ludu usłyszeliśmy przesłanie optymizmu i inkluzywności, jakby mówca rzeczywiście chciał, jak wcześniej obiecywał, zjednoczyć Amerykanów. Oświadczenie, że zależy mu na umocnieniu NATO, mogło pokrzepić europejskich sojuszników. Trump zebrał pochwały nawet od demokratów i jego notowania w sondażach poszły w górę. Ale czy naprawdę się zmienił?

Złudzenia przysły szybko. Oceniona jako „wreszcie prezydencka” mowa na Kapitolu była teatrem obliczonym na zjednanie sobie sceptyków w Partii Republikańskiej i podreperowanie fatalnego wizerunku Trumpa na świecie. Nie oznaczała korekty kursu, tylko złagodzenie tonu; towar ekonomicznego i natywistycznego nacjonalizmu podano w ładniejszym opakowaniu. A nazajutrz na kłamstwie w sprawie spotkania z ambasadorem Rosji przyłapano kolejnego pretorianina prezydenta, prokuratora generalnego Jeffa Sessionsa. Miał on na tyle przyzwoitości, by ogłosić, że wyłącza się ze śledztwa mającego to wyjaśnić. Trump natychmiast oświadczył, że Sessions uczynił ten gest niepotrzebnie, bo przecie doniesienia o rosyjskich kontaktach to wymysł mediów. Następnie prezydent oskarżył Baracka Obamę, że w czasie kampanii wyborczej założył podsłuchy w jego sztabie w Trump Tower.

Bez podania dowodów, za to nazywając w tweecie swego poprzednika „złym, albo chorym, facetem” i porównując jego domniemane działania do Watergate. Ten sam Obama po wyborach publicznie prawil Trumpowi komplementy, puszczając w niepamięć zniewagi o rzekomym sfałszowaniu swego świadectwa urodzenia. Oskarżenie byłego prezydenta – który miał powody, żeby rzeczywiście śledzić przy pomocy służb prowokacyjne poczynania kandydata republikanów w wyborach – ma oczywiście odwrócić uwagę od prawdziwego skandalu, czyli konszachcików trumpistów z Moskwą. Sprawilo jednak również, że nikt już nie pamięta przemówienia Trumpa w Kongresie. Wszystko wróciło bowiem do normy. Prezydent, który nazajutrz po inauguracji wbrew oczywistości twierdził, że przyszło na nią 1,5 mln ludzi, nadal kłamie albo wygaduje głupstwa, okrywając wstydem siebie i Amerykę.

W co Trump mówi, tylko tym, co robi. Najnowszy atak na Obamę przyjęto stosunkowo spokojnie, bo ludzie zdają się już przyzwyczajać do kolejnych wybuchów prezydenta USA, ataków personalnych i podważania autorytetu instytucji państwa (jak sądy). Następuje inflacja bluzgów, ich słuchanie ogłusza. Tylko co będzie, kiedy przywódca supermocarstwa powie coś naprawdę ważnego? Albo coś, co znowu wyda się objawem jego pozytywnej metamorfozy?

TOMASZ ZALEWSKI

Samsung ma katar

Największy skandal w historii Korei Południowej unicestwia już nie tylko jej świat polityczny, ale i biznesowy. Prezydent Park Geun-hye już od jakiegoś czasu jest zawieszona w obowiązku i została przeciw niej wszczęta procedura impeachmentu, po tym jak wyszła na jaw, że jej bliska przyjaciółka, która miała dostęp do tajnych dokumentów państwowych, wpływała na treść przemówień głowy państwa i najprawdopodobniej wiele jej decyzji. Teraz prokuratura aresztowała kilku dyrektorów Samsunga, najważniejszej rodzimej firmy, której roczne dochody są równe piątej części gigantycznego PKB. A więc każda najdrobniejsza niedyspozycja tego giganta wpływa na całą gospodarkę. Wśród zatrzymanych jest **Lee Jae-yong**, wnuk założyciela przedsiębiorstwa, formalnie będący jedynie wiceprezesem, a de facto rządzący nim od zawału ojca przed trzema laty – prokuratura zarzuca mu między innymi, że miał zlecać wielomilionowe przelewy firmie przyjaciółki pani prezydent w zamian za przychylny jego firmie rozwiązania prawne. Samsung nie radził sobie najlepiej pod przewodnictwem Lee, któremu krytycy zarzucali, że pozycję zawdzięcza nie biznesowym talentom, lecz nazwisku i znajomościom. Teraz i one nie pomogły. Idzie lawina.



Dzień kobiety

WAfryce znowu brakuje wielkich liderów. Tak przynajmniej uważa kapituła Nagrody Ibrahima za Osiągnięcia w Afrykańskim Przywództwie, uważanej za najbardziej prestiżowe wyróżnienie na kontynencie. Zwycięzca dostaje 5 mln dol. płatnych przez 10 lat oraz po 200 tys. dol. rocznie do końca życia (z puli ufundowanej przez miliardera sudańskiego pochodzenia Mo Ibrahima), ale przede wszystkim chodzi o powszechne uznanie, bo laury wędrują tylko do niedawno emerytowanych szefów państw lub rządów, którzy w trakcie kadencji umocnili demokrację i prawa człowieka w swoich ojczyznach. Niestety, od jej ustanowienia w 2006 r., laureatami nagrody zostało jedynie czterech polityków, z czego ostatni w 2011 r. W tym roku kapituła po raz kolejny nie znalazła godnego polityka, choć być może niedługo zapelni się wreszcie wakat – podobno mruwaną kandydatką jest odchodząca w tym roku na emeryturę prezydent Liberii Ellen Johnson Sirleaf, pierwsza kobieta stojąca na czele afrykańskiego państwa. Tym bardziej że wcześniej zdobyła już pokojowego Nobla.

Obowiązkowa przerwa na czytanie

Mieszkańcy Emiratów Arabskich mają czytać co najmniej 20 książek rocznie.

Zjednoczone Emiraty Arabskie mają nowe prawo, promujące czytanie książek jako styl życia i postawę obywatelską. „Narodowa ustawa o czytaniu” to, jak mówił prezydent szejk Chalifa, część strategii mającej ukształtować cywilizowane społeczeństwo. Cel jest ambitny – sprawić, by dla połowy dorosłych i 80 proc. dzieci czytanie stało się codziennym nawykiem. Mieszkańcy Emiratów mają czytać co najmniej 20 książek rocznie, a dzieciom 10 tytułów w roku mają czytać rodzice. Prawo obowiązuje pracowników sfery publicznej do czytania co dzień w pracy (chodzi o studiowanie materiałów natury zawodowej), zapowiada zwolnienie handlu książkami z podatków i otwieranie bibliotek w centrach handlowych. Każdy noworodek otrzyma literacką wyprawkę w języku angielskim lub arabskim. Podarowanych książek nie wolno niszczyć. Przedsiębiorcy, którzy podejmą się stworzenia biblioteki lub centrum kultury, mogą liczyć na ulgi. W Emiratach kończą się obchody Roku Czytelniczości oraz Czytelniczego Wyzwania – akcji, dzięki której 3,5 mln z 20 krajów przeczytało 150 mln książek. Dziś w ZEA księgarstwo to jeszcze rzadkość, Bibliotekę Narodową otwarto tam zaledwie 35 lat temu.



© CHINA FOTO PRESS/MAXPPP/IFORUM

Jin Xing ponad podziałami

Historia pani **Jin Xing**, nazywanej z racji popularności telewizyjnej chińską Oprah Winfrey, przedstawia przemiany w tym kraju dobitniej niż niejeden opasły tom. Mając 8 lat – i jako chłopiec – trafiła do wojskowej szkoły kadetów. A następnie zrobiła podwójną karierę: stała się najwybitniejszym chińskim tancerzem („New York Times” pisał: chiński geniusz) oraz doszła w armii do stopnia pułkownika. Później przyszła kariera w Brukseli i Rzymie, powrót do kraju na operację zmiany płci (po niej miała sparaliżowaną lewą nogę), kariera baleriny, założenie pierwszej prywatnej szkoły baletowej, małżeństwo

z niemieckim biznesmenem, adopcja trzech córek. A następnie zawrotna kariera w telewizji, gdzie jej programy ogląda 100 mln widzów. W rozmowach prezentuje stateczny rodzinno-patriotyczny styl. I, co może szokować, jest ulubienicą starszego pokolenia, które przecież niewiele rozumie z tych wszystkich eksperymentów z płcią. Ale nadzwyczaj ceni 49-letnią dziś Xing za to, że podobnie jak oni, doświadczeni rewolucją kulturalną i innymi nieszczęściami, tyle przeszła, aż dopięła swego. Całe Chiny w pewnym sensie przechodzą głęboką operację zmiany płci, z maoizmu na kapitalizm, i dlatego tak dobrze rozumieją panią Jin.

São na szaro

Pprzed mundialem w Brazylii firma Nike wypuściła serię koszulek piłkarskich z literami stylizowanymi na *pixação*, znaki graficzne charakterystycznych dla São Paulo tagów gęsto pokrywających całe miasto. Fascynacji wytworami lokalnej subkultury nie podziela jednak nowy gospodarz największej metropolii Ameryki Południowej. João Doria, multimilioner niegdyś prowadzący lokalną wersję amerykańskiego reality show Donalda Trumpa, jako nowy burmistrz gospodarczej stolicy kraju wydał wojnę rodzimym grafficiarzom:

w ramach kampanii „Piękne Miasto” służy porządkowe co sobota nie tylko naprawiają zepsute latarnie, chodniki i ławki, ale też zamalowują kilometry kwadratowe ścian na... szaro. Ta ostatnia decyzja jest gorąco krytykowana przez mieszkańców i lokalne media, bo ofiarą padają nie tylko czarne tagi, ale i kolorowe rysunki, które są jednym z niewiele widoków uprzyjemniających podróży w wielogodzinne stanie w korkach betonowej dżungli São Paulo. Z tego powodu poprzednia administracja zachęcała artystów do malowania zwłaszcza w alei 23 de Maio, jednej z najważniejszych arterii komunikacyjnych miasta, której zamalowanie na szaro Doria uznał za jeden z priorytetów.



© ARCHIWUM



© TOMASZ GZELL/PAP

Sąd Najwyższy ma przejąć po zniszczonym Trybunale Konstytucyjnym obronę polskiej konstytucji. Atak PiS na SN był więc kwestią czasu. Właśnie się zaczął. Czy napotka czynny opór prawników?

N

EWA SIEDLECKA

a Węgrzech neutralizacja Sądu Najwyższego zaczęła się od usunięcia jego prezesa Andrasa Baki. Orbán zrobił to za pomocą zmiany przepisów dotyczących wieku prezesa. PiS kwestionuje zaś tryb wyboru pierwszej prezes SN Małgorzaty Gersdorf. O tym, że przepisy o wyborze kandydatów na prezesa SN są sprzeczne z konstytucją, orzec ma, przejęty przez PiS,

Trybunał Konstytucyjny. Tymczasem w Sądzie Najwyższym czeka na rozpatrzenie sprawa legalności wyboru Julii Przyłębskiej na prezesa Trybunału Konstytucyjnego.

Po odejściu z Trybunału prezesa Andrzeja Rzeplińskiego to pierwsza prezes SN jest liderką sędziowskiego oporu. Nawołuje sędziów do wierności konstytucji i własnemu sumieniu. I uprzedza, że za tę wierność przyjdzie sędziom płacić osobistą cenę. Wniosek posłów PiS do TK w sprawie legalności jej wyboru jest kuriozalny prawnie. I sprzeczny z dotychczas głoszonymi poglądami PiS. Mularczyk wywodzi, że przepis ustawy o Sądzie Najwyższym (art. 16), dający Zgromadzeniu Ogólnemu Sędziów SN kompetencję wyboru dwóch kandydatów, z których prezydent wybierze Pierwszego Prezesa SN, i powierzający Zgromadzeniu uchwalenie regulaminu wyborów tych kandydatów – jest sprzeczny z art. 183 konstytucji. Ten zaś mówi, że Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego powołuje prezydent spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Gdzie tu sprzeczność?

Zdaniem Mularczyka i pozostałych 50 posłów podpisanych pod wnioskiem sprzeczność z konstytucją polega na tym, że szczegóły wyboru określono w regulaminie SN, czyli akcie o niskiej randze. Argument Mularczyka miałby jakiś sens, gdyby w konstytucji napisano, że kandydatów na prezesa wyłania się „w trybie i na zasadach określonych w ustawie”. Ale konstytucja wcale do ustawy nie odsyła. Zaś regulamin ustala tylko kwestie techniczne. Wszystko, co niezbędne, jest już w konstytucji i ustawie.

PiS zaprzecza sam sobie. Wniosek w sprawie prezesa SN jest sprzeczny z wnioskiem, który skierował do TK w 2015 r.

Tamten dotyczył trybu wyboru sędziów TK określonego w ustawie o TK, uchwalonej z inicjatywy prezydenta Bronisława Komorowskiego. PiS dowodził w nim, że tryb wyboru sędziów nie może być określony w ustawie, bo jest określony w... regulaminie Sejmu.

Kolejnym argumentem PiS jest to, że Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN przedstawiając prezydentowi (w 2014 r.) dwoje kandydatów na Pierwszego Prezesa, nie zrobiło tego w formie uchwały. Zdaniem PiS z „zasad ogólnych” konstytucji wynika, że Zgromadzenie, po głosowaniu nad kandydatami, powinno dodatkowo podjąć uchwałę. A ustawa o SN tego nie przewidziała.

Mularczyk nie wyjaśnił dziennikarzom, dlaczego w takim razie PiS uznaje za legalny wybór na prezesa TK sędzi Julii Przyłębskiej, choć – tym razem wbrew wyraźnemu przepisowi w pisowskiej ustawie o TK – Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK nie podjęło uchwały o przedstawieniu jej kandydatury prezydentowi Dudzie. W dodatku Zgromadzenie wybrało Przyłębską na podstawie przepisów, które wtedy jeszcze nie obowiązywały (weszły w życie po dwóch tygodniach od jej wyboru).

Wniosek PiS do TK w sprawie przepisu o trybie wyboru prezesa SN jest – według dotychczasowego orzecznictwa Trybunału – niedopuszczalny. Kwestionuje bowiem tzw. lukę w prawie, czyli sytuację, gdy ustawodawca zaniechał uregulowania czegoś (w tym wypadku szczegółów głosowania). Oczywiście Trybunał może zmienić linię orzeczniczą i stwierdzić, że ma prawo sądzić luki w prawie. Może uznać tryb wyboru prezesa Gersdorf za niekonstytucyjny. Prawdopodobne jest wszystko, odkąd jest zdominowany przez sędziów dobranych przez PiS.

Poseł Mularczyk zapowiada, że jeśli Trybunał orzeknie, iż prezes SN wybrano w niekonstytucyjnym trybie, to wszelkie czynności prezesa podejmowane od maja 2014 r. przez Małgorzatę Gersdorf będą nieważne. Co to za czynności? Np. powoływanie przewodniczących Wydziałów SN, przewodniczenie obradom Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN i Kolegium. A więc PiS chce zakwestionować ważność uchwał tych gremiów dotyczących np. organizacji SN, kandydatów na prezesów poszczególnych izb SN. Ale też decyzje administracyjne i finansowe prezesa Gersdorf.

Pytanie, czy unieważni się też decyzje dwóch prezesów SN powołanych wcześniej na podstawie tego samego przepisu co prezes Gersdorf, Mularczyk pozostawił bez odpowiedzi. Odpowiedź brzmi zaś: o tym zdecydują aktualne potrzeby partii rządzącej. Bez względu na skutki dla państwa, które to za sobą pociągnie.

Kiedy poseł PiS informował o wniosku do Trybunału, Komitet Nauk Prawnych PAN podjął uchwałę, w której m.in. wzywa rządzących do „posługiwania się prawem wyłącznie jako narzędziem do działania na rzecz dobra wspólnego”, „realizacji wszelkich celów politycznych z poszanowaniem wolności i praw jednostki oraz zasad demokratycznego państwa prawa” i „rezygnacji z dewaluowania wszelkich autorytetów, nie tylko osób, ale i wartości ogólnych: wiedzy i wykształcenia”. Nadzieja, że władzę ten apel obejdzie, jest żadna. PiS swój interes uważa za interes „suwerena”, który jest ponad prawem. Apel Komitetu Nauk Prawnych PAN ma więc charakter moralny: jest daniem świadectwa oporu jednego z najznakomitszych gremiów prawniczych w Polsce.

W maju SN ma ocenić, czy prezydent Andrzej Duda miał prawo zastosować akt łaski wobec Mariusza Kamińskiego, zanim został on prawomocnie osądzony za nadużycie władzy w tzw. aferze gruntowej. Prawdopodobnie w czerwcu oceni (odpowiadając na pytanie Sądu Apelacyjnego w Warszawie), czy Julia Przyłębska została skutecznie wybrana na prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Wniosek PiS do Trybunału kwestionujący wybór prezes Gersdorf może mieć więc na celu odstraszenie Sądu Najwyższego od rozstrzygnięcia tych spraw niezgodnie z wolą władzy. Ale skutek może być odwrotny. Sędziowie rozumieją, że PiS zdecydował przejąć władzę sądowniczą, bez względu na prawo i postawę sędziów. I że pozostaje im prosty wybór: polec z honorem lub bez.

Celem wniosku PiS do Trybunału może być sparaliżowanie działań prezes Gersdorf pod pretekstem, że należy czekać na rozstrzygnięcie w jej sprawie, co nastąpi w bliżej nieokreślonej przyszłości. PiS powtarza więc numer z trzema sędziami TK: Stanisławem Rymarem, Piotrem Tuleją i Markiem Zubikiem, których prawomocność wyboru do Trybunału (w 2010 r.) zakwestionował blisko dwa miesiące temu. Prezes Przyłębska nakazała tym sędziom udać się na urlop, twierdząc, że nie mogą sędzić, dopóki Trybunał nie wypowie się co do ich statusu. A terminu rozpatrzenia ich sprawy (przez wyznaczony do tego skład trzech osób wybranych do Trybunału przez PiS) nie ma.

Kierując do TK wnioski w sprawie prezes Gersdorf, PiS zyskuje argument, by wyłączyć ją z prac Krajowej Rady Sądownictwa. Tak może sparaliżować prace Rady do czasu przyjęcia nowelizacji ustawy o KRS, która przewiduje, że przedstawiciele sędziów wybierają do niej posłowie. I że politycy – członkowie KRS mogą blokować wszelkie nominacje sędziowskie Rady.

A kiedy nowelizacja zostanie przyjęta, PiS będzie mógł – za pomocą swojej KRS i swojego prezydenta – wprowadzić do Sądu Najwyższego własnych sędziów. Liczby sędziów SN nie określa ustawa, można więc napchać swoich, ile potrzeba. Przejęta przez PiS Rada będzie też odmawiać sędziom SN zgody na sędzenie po osiągnięciu wieku emerytalnego, co zwolni pewnie z 1/3 etatów. A jeśli jeszcze obniży się wiek emerytalny sędziów (dziś 70 lat) do obowiązującego powszechnie – zwolni się połowa dzisiejszych miejsc w SN. I będzie sytuacja jak w Trybunale Konstytucyjnym.

PiS za pośrednictwem podległych mu mediów rozpoczął kampanię zohydzenia sędziów w opinii publicznej. Dowiadujemy się, że jakiś sędzia coś ukradł, a inny kierował po pijanemu. A sędziowskie sądy dyscyplinarne są dla sędziów zbyt pobłażliwe. Powstaje wrażenie, że środowisko sędziowskie to zbiór patologicznych typów nadużywających władzy, w którym PiS powinien wprowadzić „dobrą zmianę”.

Kilku sędziów nie daje obrazu ponad 10-tysięcznego środowiska. Choć rzeczywiście sędzia powinien być bez skazy. Dlatego

środowisko powinno surowo karać tych, którzy nie sprostają wymogom. Prawdą jest, że bywa jednak zaskakująco łagodne. Ale remedium na to nie jest polityczna kontrola nad sędziami. Czym to się kończy – widać w przejętej przez polityków prokuraturze.

Prawo można egzekwować tylko za pomocą niezależnych sądów i niezawisłych sędziów. Wydany niezawisłe wyrok nie zawsze bywa sprawiedliwy. Ale wyrok wydany na polecenie jest niesprawiedliwy z samej swej istoty. Z tego nie zdają sobie sprawy ci, którzy liczą, że sprawiedliwość wyegzekwuje od sędziów władza wykonawcza.

Ilu sędziów zechce pójść na współpracę z władzą PiS? To będzie zależało także od atmosfery w środowisku prawniczym. Od tego, czy taka współpraca będzie traktowana jak zdrada wartości, na których opiera się demokratyczne państwo prawne i sędziowskie przysięgi, czy jak usprawiedliwiona troska o własny interes.

Pewne sygnały – choćby wspomniana uchwała Komitetu Nauk Prawnych PAN – wskazują, że środowisko prawnicze nie uchyli się od odpowiedzialności za obronę państwa prawa. Prawdopodobnie w maju będzie Kongres Prawników Polskich, do którego zwołania wezwał wrześnieowy Nadzwyczajny Kongres Sędziów.

W piątek największe autorytety prawnicze w Polsce podpowiadały sędziom, jak – zgodnie z prawem – używać w orzecznictwie konstytucji do obrony praw i wolności człowieka i obywatela. „Nie jesteście ustami ustawy. Jesteście władzą, która ma sprawiedliwie sędzić” – mówił do sędziów prof. UW Marcin Matczak na zorganizowanej przez Uniwersytet Śląski konferencji „Sędzia a konstytucja. Kryzys sądownictwa konstytucyjnego a rozproszona kontrola zgodności prawa z konstytucją”. Uczestnicy konferencji byli zgodni, że w nadzwyczajnej sytuacji, gdy Trybunał Konstytucyjny nie pełni swojej roli, sądy powinny korzystać z tych zapisów konstytucji, które mówią, że stosuje się ją „bezpośrednio” i że sądy orzekają w oparciu o konstytucję i ustawy. A chaosowi prawnemu, jakim grozi takie rozproszone stosowanie konstytucji, przeciwdziałać ma ujednolicanie tego orzecznictwa przez Sąd Najwyższy i Naczelny Sąd Administracyjny.

Ale co sądy mają zrobić, gdy Trybunał orzeknie, że jakiś przepis jest zgodny z konstytucją? Czy sąd może taki wyrok zignorować? Można się bowiem spodziewać, że przejęty przez PiS TK nie dopatry się naruszenia konstytucji np. w zaskarżonej do niego przez RPO ustawie o ziemi, którą PiS sparaliżował handel ziemią rolną. Czy niekonstytucyjności przepisów inwigilacyjnych.

Z jednej strony podkreślano, że nie można walczyć bronią PiS: kwestionując ważność wyroków Trybunału. Z drugiej – że nie można uznać wyroku, w wydaniu którego brali udział dublerzy wybrani przez PiS na zajęte już w TK miejsca. Zgodzono się, że sędzia sądu powszechnego nie może uznać wyroku Trybunału za „nieważny”. Ale może ocenić, czy to w ogóle jest wyrok. Jeśli „wyrok” wydała osoba, która nie jest sędzią – nie jest to wyrok w rozumieniu prawa – ocenił prof. Tadeusz Erciński, wieloletni prezes izby cywilnej Sądu Najwyższego. A inny sędzia SN prof. Karol Weitz przypomniał, że to, iż dublerzy nie są sędziami, zostało prawomocnie i ostatecznie stwierdzone przez Trybunał Konstytucyjny. I nie zmienia tego fakt, że zostali do Trybunału wprowadzeni przez PiS za pomocą specjalnej ustawy. „Nie oczekujemy od państwa heroizmu. Ale jeżeli będziemy mogli pomóc – jesteśmy do dyspozycji” – deklarował na piątkowej konferencji dr Ryszard Balicki, konstytucjonalista z Uniwersytetu Wrocławskiego.

To przede wszystkim sędziom sądów powszechnych grożą szkany za niespełnianie oczekiwań władzy. Dlatego potrzebne jest im moralne i merytoryczne wsparcie. Gdy PiS złamie sędziów, przejmując władzę sądowniczą, Polskę od PRL odróżniac będą już tylko pełne półki sklepowe, brak obowiązkowego języka rosyjskiego w szkołach i władza Kościoła katolickiego. Prawa i wolności obywatelskie zależą od łaski władzy. ■